

N. S. Lincoln.

Trup w kasie.

Amerykański romans kryminalny.

4

— Dzień dobry, Wilkins! Czy można się widzieć z panną Beatryczą?

Po strasznych wstrząśnieniach i ponurym nastroju ostatnich dni rozległ się świeży, młody głos Peggy, jak radosny akord.

— Owszem, panno Małgorzato. Jeśli pani pozwoli do pokoju, o! tutaj! poproszę zaraz pannę Beatryczę. Czekaj ona na panią.

Peggy poprawiła jeszcze szybkim ruchem niesforny loczek, który zawisł jej nad czołem. Jeszcze w niedalekiej młodości loczek ten był przedmiotem docinków i napomnień, które niejedną troskę jej przysporzyły, to też usuwała go zawsze skwapliwie.

W chwili, kiedy odwracała się właśnie od lustra, wbiegła Beatrycza, a Peggy pospieszyła jej naprzeciw i objęła serdecznie ramionami.

— Serce najdroższe! Jak to dobrze, że cię przecież znowu widzę. Byłam tu już kilka razy.

— Wiem, najdroższa Peggy, wdzięczna ci byłam za to, żeś o nas pamiętała.

Trzymając się za ręce, usiadły razem na kanapie przy kominku. Jasna blond główka Peggy tworzyła wdzięczny kontrast z poważną ciemną głową jej przyjaciółki. Drżący płomień płonących dREW oświetlał je obie przytulone do siebie.

— Nie mówmy o tych strasznych przejściach, Peggy! Wysilałam całą moją wolę, aby o tem nie myśleć, zdaje mi się bowiem, że zwaryuję, jeśli ciągle o tem będę myśleć. Nawet z tobą, najdroższa, wolę o tem nie mówić.

Ręce jej zdrząły, a ząbkami przygryzła silnie wargi, tłumiąc łkanie. Skinęła na Wilkusa, aby stoliki z herbatą przysunął bliżej do ognia.

— Dwa kawałki cukru i plasterek cytryny, prawda Peggy?

— Tak... proszę, a herbatę słabą.

— Jakżeż pocziwie zrobiłaś, że mimo tej śnieżycy odważyłaś się wybrać do mnie!

— Ba! Śniegu wcale się nie boję! Nic mi on nie zrobi! — Peggy strzepnęła lekceważąco palcami. — Siedziałam cały dzień w domu i stęskniłam się za świeżym powietrzem. Z przyjemnością też przeszłam się tu do ciebie! Niestety! u babuni na śniadanie jadłam bardzo dużo, jak na mnie nawet za dużo!

— Opowiedzże mi, kto był u was?

— Ach, cały klub. Jedna z członkiń nie przyszła na posiedzenie i mnie babunia zaprosiła, abym jej miejsce zajęła.

Klub ten, składający się z jedenastu najdowcipniejszych kobiet Waszyngtonu, odgrywał w mieście poważną rolę. Zbierał się co miesiąca za każdym razem u innej z członkiń, a ta jako gospodyni miała prawo zaprosić dwunastego gościa. Wybrane uważały zaproszenie takie za odznaczenie i przyjemność. Temat, który miał być na zebraniu omawiany, był zawsze wydrukowany na drugiej stronie zaproszenia.

— O czymże dzisiaj mówiliście na posiedzeniu?

— O czym kobieta najdłużej pamięta? — czy możesz dolać mi trochę wody? Herbata moja jest za mocna.

— A jakież były odpowiedzi na to pytanie? — rzuciła Beatrycza, sięgając równocześnie po imbryk.

— Oświadczono, że żadna kobieta w całym świecie nie zapomni mężczyzny, którego kochała. O! Beatryczo! uważajże! proszę! — krzyknęła Peggy, gdyż kilka kropel wrzącej wody prysnęło jej na rękę.

— O Peggy! Czy cię sparzyłam?

— No, jeszcze tak bardzo źle to nie wygląda — jęknęła Peggy i wsadziła palce do ust.

— Przepraszam cię najmocniej! Ogromnie mi przykro, najdroższa! Ale proszę cię, opowiedz mi, czy przy owym śniadaniu nie dowiedziałaś się o czemś ciekawem?

— Nic nadzwyczajnego! — Przecież nie mogła jej Peggy powiedzieć, że mówiono prawie wyłącznie o morderstwie w domu Trevorów. — Zaczęła więc szybko zagadywać. — Powiadają, że w rodzinie Van Auckenów przyjdzie do rozwodu. Najnowsza zaś wiadomością jest, że Marta Underhill zerwała zaręczyny z Bobem Crane.

— A to dlaczego?

— Ach, posprzeczała się o Donalda Gordona.

Beatrycza zmieszała się tak silnie, że dopiero wtedy Peggy — może za późno — zauważyła, że źle się

wybrała ze swem zwierzeniem. Nie mogła jednak obecnie się cofnąć, zaczęła więc odważnie dalej opowiadać.

— Bob jest strasznie zazdrosny i odrazu traci panowanie nad sobą, jeśli Marta tylko spojrzy na kogoś innego. Wściekał się też formalnie, kiedy mu oświadczyła, że na owym balu, na którym byliśmy, ostatni taniec będzie tańczyła z Donaldem Gordonem. Kiedy wczoraj spotkałyśmy się po nabożeństwie na promenadzie, zaczęła skarżyć się, że pan Gordon nie stawiał się do kotyliona. Wtedy Bob nagle zrobił się bardzo przykry i powiedział jej: „Dobrze ci tak! Dlaczego tańczysz z mordercą?”

— O, tchórz! — wykrzyknęła Beatrycza.

— Tak też wszyscy pomyśleliśmy sobie, a kiedy zęgnęłam się z nimi, właśnie Marta tłumaczyła mi to dosadnie. Wynikiem zaś: zerwanie. Zresztą wszyscy uważamy pana Gordona za zupełnie niewinnego. Dla mnie jest to wprost śmiesznem, że jego właśnie podejrzewają. Taki rycerski mężczyzna, który wobec kobiet jest taki miękki i dobry. Może troszkę za bardzo flirtuje, ale to przecież nic nie szkodzi.

Beatrycza poruszyła się niespokojnie na stołku.

— Jak się miewa twoja babka? — zapytała niespokojnie.

— O! Bardzo dobrze. Bawi się doskonale, gdyż klóci się na śmierć i życie z władzami. Major Stone postawił mianowicie wniosek, aby przez nasz ogród róż przeprowadzić ulicę.

— Ależ to oburzające! — zawołała Beatrycza. — Wasz ogród róż należy przecież do najciekawszych osobliwości Waszyngtonu.

— A tak, toby było skandaliczne. Wczoraj poszłyśmy obie z babką do nowego komisarsza budowlanego naszego okręgu. Jest to niejaki major Cichrane, który nas mgdy jeszcze nie widział, ani o nas nie słyszał. Robił wrażenie, jakby nie miał o niczem pojęcia. W końcu zapytał: „Czy dobrze rozumiałem, pani pragnęłaby przeprowadzić połączenie między obu ulicami?” „Nie” — odpowiedziała moja babunia z najrozkoszniejszym uśmiechem — nie przyszłam tu, aby uzyskać połączenie, ale zyskać sprzymierzeńca. I kiedy odchodziłyśmy, zdobyła tego człowieka z duszą i ciałem — zakończyła Peggy ze śmiechem.

— Pani Macallister z pewnością zwycięży — zauważyła Beatrycza — poczem widząc, że Peggy wstaje, aby się pożegnać, dodała. — Czy musisz już koniecznie iść, moja kochana?

— Mam kawał drogi do domu, zresztą muszę dzisiaj wieczorem być na przyjęciu u pani Van Winkles, a potem wybieram się na bal dobroczynny. Jak widzisz, dzisiejszy dzień wymagać będzie jeszcze odemnie niemałego wysiłku. Bardzo mi przykro, droga Beatryczo, że muszę cię, tak samotną porzucić. Czy nie zdecydowałaś się przenieść się na jakiś czas do nas? Tak byśmy się z tego cieszyli. To wcale dla ciebie nie dobrze, że się tak zamykasz.

Beatryczy stanęły łzy w oczach. Pochyliła się i ucałowała Peggy w różane policzki. Ile ją kosztowało to, że przebywała w tym domu, o tem nikt nigdy nie może się dowiedzieć. Potrząsnęła więc tylko głową.

— To tak pocziwie z twojej strony, Peggy, że chcesz mnie mieć u siebie. Moja siołka dziewczyno! Ale przecież nie mogę opuścić ojca! On właśnie teraz bardzo mnie potrzebuje!

Peggy poprawiała właśnie swoje boa i nie zwróciła uwagi na dziwny nacisk, jaki Beatrycza położyła na jednym z ostatnich słów. Ta ostatnia bojaźliwie rozejrzała się dookoła po pokoju, poczem w półcieniu słabo oświetlonego pokoju wydobyła ze swej torebki ręcznej nieduże pudełko kartonowe i wcisnęła je szybko do ręki przyjaciółce, szepcząc przy tem urywanym głosem:

— Wszędzie otaczają mnie tu oczy szpiegów. Tylko tobie mogę na prawdę zaufać, Peggy, tylko tobie jednej! Proszę cię... zaklinam w imię naszej starej przyjaźni... weź to pudełko i schowaj dobrze... ukryj je starannie.

— Ależ dobrze, ma się rozumieć! — odszepnęła Peggy, starając się uspokoić wzburzenie Beatryczy. — Żaden człowiek nigdy go nie zobaczy, ani nawet o niem nie usłyszy.

Wsunęła szybko pudełeczko do swego wielkiego zaręczawka i dodała z żywością:

— Pamiętaj zawsze o tem, że babunia i ja kochamy cię z całego serca i szczerze twoją stronę trzymamy. Przyjdź zawsze do nas wtedy, kiedy będziesz potrzebowała pomocy i oparcia.

Beatrycza, zamiast odpowiedzi, przytuliła ją jeszcze raz silnie do siebie, poczem Peggy szybko wyszła z pokoju. Z gwałtownym wybuchem płaczu rzuciła się Beatrycza na kanapkę.

W chwili kiedy Peggy ukazała się w holu, Al-

fred Clark właśnie zdejmował palto z wieszaka, aby się w nie ubrać. Pospieszył skwapliwie naprzeciw nadchodzącej.

— Czy mogę panią odprowadzić do domu? — ofiarował się z usługą gotowości.

— O, dziękuję pięknie — odpowiedziała Peggy ozięble — wsiadę zaraz na rogu do tramwaju.

— Tak bardzo żałowałam, że w ubiegłą niedzielę pani nie zastałam, — zaczął Clark rozmowę, pomagając jej zejść ze schodów; nie okazywał wcale chęci pożegnania jej. — Przypuszczałam, że pani w tym dniu zwykle bywa w domu?

— Z reguły tak, ale w ubiegłą niedzielę wyjątkowo odprowadzałam przyjaciółkę na kolej. Ale oto mój tramwaj nadchodzi! Proszę, zatrzymaj pan wóz.

— Jakżeż znalazła pani pannę Trevor? — zapytał Clark, zająwszy, ku niemałemu jej niezadowoleniu, miejsce obok niej w tramwaju.

— Zupełnie wyczerpana — odpowiedziała Peggy poważnie. — Obawiam się, że ta cała sprawa bardzo jej obeszła, niż się do tego przyznaje.

— Ma pani zupełną rację, panno Macallister — odezwał się Clark. W głosie jego było tyle ciepłego współczucia, że Peggy spojrzała na niego zdziwiona. — Ojciec panny Trevor tak przejął się swoją boleścią, że zupełnie nie zwraca uwagi na stan córki. Trzebaby koniecznie coś dla niej zrobić.

— Przykre to, co prawda, ale przecież zupełnie rozumiałe — zauważyła Peggy. — On tak bezgranicznie kochał swą żonę.

— Dlatego jednak nie powinien zaniedbywać swej córki! Panna Trevor zachowuje się bardzo dziwnie, czy pani tego nie zauważyła? Czasem robi wrażenie, jakby jakaś wielka troska ją przygniatała.

— Nic nie zauważyłam — odpowiedziała ostro Peggy — zdaje mi się przeciwnie, że obecny jej nerwowy stan jest zupełnie usprawiedliwiony tragedią, jaką przeżyła, a i tajemnicą z tą sprawą związaną.

— Tajemnicą? — powtórzył Clark. — Tę przecież w zupełności wyjaśniło aresztowanie Gordona.

— Ależ wcale nie! — zawołała Peggy gwałtownie. Ani na sekundę nie przypuszczałam, aby on był winien. Jest on ofiarą dziwnego zbiegu okoliczności...

W tej chwili dojechali do przystanku, a Peggy dokończyła zaczętego zdania dopiero, kiedy stali już przed domem Macallisterów.

— Proszę pana, niech mi pan powie, skąd znalazłby pan u Gordona pobudki takiej zbrodni?

— Z jego przeszłości, panno Macallister — odpowiedział Clark w chwili, gdy się brama otwierała. — Dobranoc! Dziękuję pani bardzo, że pani pozwoliła mi się do domu odprowadzić.

ROZDZIAŁ VIII.

Wyzwanie.

Północ dobiegała. Bal dobroczynny, urządzany co roku na cel szpitala dla dzieci, doszedł już do kulminacyjnego swego punktu. Ogromna sala w hotelu New-Willard była przepełniona tak, że wprost nie można się było obrócić, jak utrzymywała żądna tańca młodzież.

— Niech pani na chwilę opuści ten straszny tłok, panno Peggy!

Dik Tillingshast wskazał zaciszną niszę w oknie, która wyglądała tak zachęcająco, że Peggy bez namysłu poszła za jego radą i z westchnieniem ulgi rzuciła się w wygodny kącik.

— A to ładnie! — dowodził dik dalej, chwytając jej wachlarz i chłodząc ją z całych sił. — Peggy... pani jest straszna! Pani wprost skandalicznie kokietuje małego Morny.

— Hrabia jest bardzo sympatyczny — odpowiedziała Peggy z powagą. — Zresztą uczę go po angielsku. — Dik zawrzał wściekłością.

— Pani może to nazywać, jak pani chce, ale ten hrabia bierze całą sprawę zupełnie seryo.

— Panie Tillingshast, muszę pana prosić... — Peggy podniosła dumnie głowę.

Dik natychmiast zorientował się i szybko starał się zapobiedz błyskom gniewu, które pojawiły się w jej oczach.

— Ależ proszę panią, panno Peggy! Pani cały wieczór postępowała ze mną strasznie niepocziwie. Nawet jednego tańca pani dla mnie nie zarezerwowała, dopiero musiałem wkraść się i zdobywać tańcie nadprogramowy.

— Zwyczaj każe, aby o taniec prosić — odpowiedziała Peggy zimno.

— Przecież to nie stało się z mojej winy. Nie mogłem ani minuty wcześniej wyrwać się z redak-